

LEE CHILD



NOGNA RUNDA



1

Jack Reacher i Michelle Chang spędzili w Milwaukee trzy dni. Czwartego dnia rano już jej nie było. Reacher wrócił do pokoju z kawą i znalazł na poduszce list. Widywał już takie. Wszystkie mówiły to samo. Dyplomatycznie albo niedyplomatycznie. List Chang był dyplomatyczny. I bardziej elegancki niż większość pozostałych. Ale nie pod względem estetyki, bo nabazgrała go długopisem na zwichrowanej od wilgoci kartce z hotelowej papeterii. Eleganckim językiem. Żeby wszystko wyjaśnić, polechtać i jednocześnie przeprosić, użyła porównania. Napisała: *Jesteś jak Nowy Jork. Uwielbiam tam jeździć, ale nie mogłabym tam mieszkać.*

Zrobił więc to co zwykle. Pozwolił jej odejść. Dobrze ją rozumiał. Nie musiała go przeproszać. Nie mógł zamieszkać nigdzie na stałe. Jego życie było ciągłą wędrówką. Kto by się na to godził? Wypił kawę, najpierw swoją, potem jej, z kubka w łazience wyjął szczoteczkę do zębów, wyszedł i skręcając to w lewo, to w prawo, płataniną ulic ruszył na dworzec autobusowy. Chang jechała już pewnie taksówką. Na lotnisko. Miała złotą kartę i komórkę.

Na dworcu zrobił to co zawsze. Kupił bilet na pierwszy autobus, nie patrząc, w jakim jedzie kierunku. Okazało się, że

jest to kurs na północny zachód, do jakiegoś miasta nad brzegiem Jeziora Górnego. Czyli zasadniczo nie tam, dokąd by chciał. Wolałby miejsce cieplejsze, nie zimniejsze. Ale zasada to zasada, więc wsiadł. Autobus ruszył i za oknem przemknęło Wisconsin, szpeceniaste rżyska upstrzone belami siana, zmęczone pastwiska, czarne, brzemienne drzewa. Był koniec lata.

I kilku innych rzeczy. Chang zadała mu szereg pytań, które były tak naprawdę zakamuflowanymi stwierdzeniami. Mogłaby zrozumieć, że rok. Owszem, rok byłby do zaakceptowania. Chłopak, który dorastał w zagranicznych bazach wojskowych i którego potem do tych baz wysyłano, ktoś, kto jedyną przerwę w tej nieustannej wędrówce – cztery lata – spędził w West Point, uczelni niezbyt przeładowanej zajęciami rekreacyjnymi, tak, oczywiście, ktoś taki ma pełne prawo wziąć sobie rok wolnego, trochę popodróżować i pooglądać. Rok, a nawet dwa. Ale nie więcej. I nie ciągle. Nazwijmy rzecz po imieniu. Strzałka wskaźnika patologii już drga.

Powiedziała to wszystko z troską, bez osądzania. Bez wielkiego halo. Podczas parominutowej rozmowy. Ale przekaz był oczywisty. Bardziej oczywisty być nie mógł. Uważała, że jest wyobcowany. Spytał: Z czego? W głębi ducha zawsze uważał, że żyje mu się całkiem dobrze.

No właśnie, odparła, oto najlepszy dowód.

Więc wsiadł do autobusu, a ponieważ zasada to zasada, dojechałby aż nad Jezioro Górne, tylko że na drugim przystanku wysiadł, żeby rozprostować nogi, i w oknie wystawowym lombardu zobaczył sygnet.

• • •

Zatrzymali się pod wieczór w podupadłej dzielnicy jakiegoś miasteczka. Możliwe, że w stolicy hrabstwa. Albo jego części. Może mieściła się tam główna siedziba miejscowej po-

licji. Areszt na pewno tak, bo wysiadłszy z autobusu, Reacher zobaczył kilka biur poręczeniowych i lombard. Pełny serwis, wszystko na miejscu, jeden przybytek obok drugiego, na zapuszczonej ulicy na tyłach toalet.

Zesztywniały od siedzenia, popatrzył na ulicę. I poszedł w tamtą stronę. Bez żadnego powodu. Ot, na spacer. Żeby się wyluzować. Zbliżając się do lombardu, policzył gitary w oknie wystawowym. Siedem. Siedem historii, smutnych jak płynące z radia piosenki o niespełnionych marzeniach. Na dole stały szklane półki zawałone drobniejszym towarem. Wszelkiego rodzaju biżuterią. W tym pierścionkami. W tym sygnetami uczelnianymi. Ze wszystkich rodzajów uczelni. Ale jeden rzucił mu się w oczy. Złoty sygnet z West Point. West Point rocznik 2005.

Był bardzo elegancki. Tradycyjny kształt, tradycyjny styl – kunsztownie zdobiony, z czarnym kamieniem, może półszlachetnym, może ze szkłem, miał owalną obwódkę z napisem *West Point* na górze i *2005* na dole. Oldskulowe liternictwo, tak jak trzeba. Klasyczne podejście. Z szacunku dla minionych czasów albo z braku wyobraźni. Absolwenci West Point sami projektowali sygnety. Dowolnie, tak jak chcieli. Stara tradycja. Która być może dawała im do tego prawo, bo to właśnie tam zapoczątkowano zwyczaj noszenia uczelnianych sygnetów.

Ten był bardzo mały.

Reacher nie włożyłby go na żaden palec. Nawet na mały palec lewej ręki, nawet na paznokcie. A już na pewno nie przecisnąłby go przez kłykieć. Tak, sygnet był malutki. Kobięcy. Replika dla dziewczyny albo narzeczonej? To się zdarzało. Coś w rodzaju hołdu czy pamiątki.

Ale niekoniecznie.

Otworzył drzwi. Wszedł do środka. Siedzący przy kasie mężczyzna podniósł wzrok. Niedomyty i rozmemłany, był

wielki jak spasiony niedźwiedź. Miał trzydzieści kilka lat, ciemne włosy i coś przebiegłego w oczach. Przebiegłego na tyle, żeby perfekcyjnie zareagować na niespodziewaną wizytę kogoś mierzącego prawie dwa metry i ważącego sto trzyście kilo. Zrobił to instynktownie. Bo się nie bał. Pod ladą miał nabitą spluwę. Chyba że był idiotą. Choć nie wyglądał na idiotę. Wszystko jedno, w każdym razie nie chciał ryzykować zbyt dużą agresywnością. Ale nie chciał też być zbyt służalczy. Kwestia dumy.

Dlatego spytał:

– Co słysząc?

Tak szczerze to nic dobrego, pomyślał Reacher. Chang jest już pewnie w Seattle. Wróciła do swojego dawnego życia.

Mimo to odparł:

– Wszystko dobrze, nie narzekam.

– W czym mogę pomóc?

– Chciałbym rzucić okiem na te sygnety.

Niedźwiedź zdjął z półki tacę i postawił ją na ladzie. Sygnet z West Point potoczył się jak mała piłka golfowa. Reacher podniósł go i obejrzał. Na wewnętrznej stronie obrączki był wryty napis. A więc nie replika. Nie dla dziewczyny czy narzeczonej. Replik się nie grawerowało. Stara tradycja. Nikt nie wiedział dlaczego.

Ani wyraz hołdu, ani pamiątka. To był autentyczny. Prawdziwy sygnet, który kosztował kogoś cztery lata ciężkiej pracy. I który ten ktoś nosił z dumą. Co było oczywiste, bo jeśli komuś się tam nie podobało, to nie kupował sygnetu. Nie musiał, nie miał takiego obowiązku.

S.R.S. 2005. Tak brzmiał napis.

Zatrąbił klakson, trzy razy. Autobus był gotowy do drogi, ale brakowało jednego pasażera. Reacher odłożył sygnet, po-dziękował sprzedawcy i wyszedł na ulicę. Szybko minął toa-

lety i przez otwarte drzwi zajrzał do autobusu.

- Zostaję – powiedział.
- Nie zwracamy za bilety – uprzedził go kierowca.
- Nie potrzeba.
- Ma pan coś w bagażniku?
- Nie.
- W takim razie miłego dnia.

Kierowca pociągnął za dźwignię i drzwi zamknęły się z głośnym cmoknięciem. Ryknął silnik, buchnął kłęb spalin i autobus odjechał. Reacher odwrócił się i ruszył z powrotem do lombardu.

2

Spasiony niedźwiedź był trochę niezadowolony, że znów musi zdejmować tacę z półki, w dodatku zaraz po tym, jak ją tam wcisnął. Ale zdjął ją i postawił na ladzie dokładnie w tym samym miejscu co poprzednio. Sygnet z West Point znów potoczył się jak piłeczka. Reacher wziął go do ręki.

- Pamięta pan kobietę, która to zastawiła?
- Jakim cudem? – odparł Niedźwiedź. – Mam tu milion rzeczy.
- Prowadzi pan księgę?
- Pan z policji?
- Nie – odparł Reacher.
- To legalny towar.
- Nieważne. Chcę się tylko dowiedzieć, kto zastawił ten sygnet.
- Po co to panu? – spytał Niedźwiedź.
- Chodziliśmy do tej samej szkoły.
- Gdzie? W północnej części stanu?
- Nie, na wschodzie – rzucił Reacher.
- Nie mogliście chodzić razem do szkoły. Nie w dwa tysiące piątym. Bez urazy.
- Nie uraził mnie pan. Jestem z innego pokolenia. Wcze-

śniejszego. Ale ta szkoła się nie zmienia. Dlatego wiem, ile trudu kosztowało ją zdobycie tego sygnetu. I zastanawiam się, jaki splot nieszczęśliwych okoliczności zmusił ją do tego kroku.

- Co to za szkoła? – spytał Niedźwiedź.
- Uczą tam wielu praktycznych rzeczy.
- Taka zawodówka?
- Mniej więcej.
- Może ta kobieta zginęła w wypadku?
- Możliwe. – Albo i nie w wypadku, pomyślał Reacher.

Iran. Afganistan. Dla absolwentów z dwa tysiące piątego to był ciężki rok. – Ale chciałbym mieć pewność.

- Dlaczego?
- Sam nie wiem.
- To sprawa honorowa?
- Chyba tak.
- Zawodówki też tak mają?
- Niektóre.
- Tego sygnetu nikt nie zastawił – powiedział Niedźwiedź. – Kupiłem go. Z mnóstwem innej drobnicy.

- Kiedy?
- Jakiś miesiąc temu.
- Od kogo? – spytał Reacher.
- Nie będę się panu spowiadał. Bo niby czemu? Towar jest legalny. Interes też. Nie łamię prawa. Mam licencję i regularnie mnie kontrolują.

- Więc dlaczego nie chce pan powiedzieć?
- To poufna informacja.
- A gdybym go kupił? – nie ustępował Reacher.
- Kosztuje pięć dych.
- Trzy.
- Cztery.

– Stoi. Więc teraz mam prawo znać jego pochodzenie.

– To nie Sotheby's.

– Wszystko jedno.

Niedźwiedź się zawahał.

– Kupiłem go od gościa, który pomaga jakiejś instytucji charytatywnej. Ludzie darują rzeczy, żeby dostać ulgę podatkową. Głównie stare samochody i łodzie. Ale inne rzeczy też. Gość wystawia im zawyżone pokwitowania, opycha towar za ile się da i odpala działkę tej instytucji. Ale ja kupuję od niego tylko drobnicę. No i sprzedaję, żeby choć trochę zarobić.

– Więc myśli pan, że ktoś podarował ten sygnet organizacji charytatywnej, żeby odpisać jakąś sumę od podatku dochodowego? – spytał Reacher.

– Jeśli jego właściciel nie żyje, wszystko by pasowało – odparł Niedźwiedź. – Dwa tysiące piąty. Część spadku.

– Chyba nie. Myślę, że krewni by go zatrzymali.

– Zależy, czy mieli co jeść.

– Ciężko się tu żyje?

– Nie narzekam, ale ja mam lombard.

– Mimo to ludzie wciąż dają datki na dobroczynność.

– Żeby dostać lewy kwit. A na koniec rząd i tak zeżre całą ulgę. Socjal na odwyrtkę.

– Jak się ten gość nazywa? – spytał Reacher.

– Nie powiem – odparł Niedźwiedź.

– Dlaczego?

– Bo to nie pana interes. Kim pan właściwie jest?

– Zwykłym facetem, który ma bardzo zły dzień. Nie z pana winy oczywiście, ale ponieważ dzień jeszcze się nie skończył, to gdyby spytał mnie pan, czy warto go dodatkowo pogarszać, musiałbym odpowiedzieć, że to głupi pomysł. Mógłby pan być kroplą, która przelała kielich.

– Grozi mi pan? – spytał Niedźwiedź.

– Nie, raczej ostrzegam, jak w prognozie pogody. Taki serwis publiczny, ostrzeżenie przed tornadem. Wie pan: kryć się!

– Wynocha z mojego sklepu!

– Na szczęście głowa mnie już nie boli. Trochę oberwałem, ale już mi lepiej. Przynajmniej lekarz tak mówi. Przyjaciółka kazała mi do niego pójść. Dwa razy. Martwiła się o mnie.

Niedźwiedź znów się zawahał.

– Konkretnie z jakiej szkoły jest ten sygnet?

– Z akademii wojskowej.

– Bez urazy, ale tam chodzą dzieciaki z problemami. Albo niezrównoważone.

– Niech pan nie zrzuca winy na dzieciaki – powiedział Reacher. – Niech pan spojrzy na ich rodziców. Szczerze mówiąc, było tam wielu takich, którzy mieli na koncie kilka trupów.

– Serio?

– Powyżej średniej.

– I potem już zawsze trzymacie się razem? – spytał Niedźwiedź.

– Nigdy nikogo nie zostawiamy.

– Ten facet nie będzie gadał z obcym.

– A ma licencję i zalicza kontrole?

– To, co robię, jest legalne – powtórzył Niedźwiedź. – Mój prawnik tak mówi. Legalne, dopóki tak myślę. A myślę. Towar pochodzi z akcji charytatywnych. Widziałem papiery. Różni ludzie się tym zajmują. Zamawiają nawet reklamy w telewizji. Głównie samochodów. Czasem łodzi.

– Ale akurat ten nie zechce ze mną rozmawiać, tak?

– Nie byłbym zdziwiony.

– Nie zna dobrych manier?

– Nie zaprosiłbym go na piknik.

– Jak się nazywa?

– Jimmy Rat.

- Poważnie? – upewnił się Reacher. – Rat jak szczur?
- Tak na niego wołają.
- Więc gdzie znajdę tego pana Szczura?
- Niech pan szuka minimum sześciu harleyów przed barem. Jimmy na pewno tam będzie.

3

Miasteczko było niewielkie. Za podupadłą dzielnicą znajdowała się dzielnica, którą od upadłości dzieliło najwyżej pięć lat. Może trochę więcej. Powiedzmy dziesięć. Nie trzeba tracić nadziei. Było tam kilka zabitych deskami witryn, ale niewiele. Większość sklepów wciąż działała, choć leniwie, w wiejskim tempie. Ulicą przetaczały się powoli duże furgonetki. Była tam nawet sala bilardowa. I niewiele latarni. Robiło się ciemno. Coś w architekturze mówiło, że to kraina farm mlecznych. Sklepy przypominały kształtem dawne obory. To samo DNA.

W samotnie stojącym drewnianym budynku był bar z porośniętym trawą żwirowym parkingiem, na którym równiutkim rzędem stało siedem harleyów. Choć niekoniecznie należących do Hell's Angels. Mogły należeć do którejś z ich wielu odmian. Motocykliści są podzieleni jak baptyści. Niby ci sami, a inni. Tym najwyraźniej podobały się czarne skórzane frędzle i chrom. Lubili jeździć na leżąco, z wysuniętymi do przodu rozkraczonymi nogami. Może dla ochłody. A może z konieczności. Nosili zwykle grube skórzane kamizelki. Spodnie i ciężkie buty. Wszystko czarne. Latem musiało im być gorąco.

Motocykle były ciemne i błyszczące. Cztery miały poma-

rańczowe płomienie na baku, trzy runiczne symbole w srebrzystych obwódkach. Bar był stary i sfatygowany, bez kilku gontów na dachu. Klimatyzator w oknie z trudem nadażał za temperaturą, sikając wodą do kałuży pod ścianą. Ulicą przejechał radiowóz. Powoli, sycząc oponami po asfalcie. Policyjny. Miejscowy. Pierwszą połowę wachty patrol spędził pewnie z „suszarką” na poboczu drogi, pomnażając dochody komunalne, a teraz patrolował ulice należących do hrabstwa miasteczek. Żeby pokazać, że jest. Że uważa na miejsca, gdzie lęgną się kłopoty. Siedzący za kierownicą policjant odwrócił głowę i spojrzał na Reachera. Bardzo schludny, ostrzyżony na zaparkę i zupełnie niepodobny do zapasionego niedźwiedzia z lombardu, miał szczupłą twarz i mądre oczy. Siedział sztywno jakby kij połknął. Niedawno był u fryzjera. Wczoraj. Najdalej przedwczoraj.

Reacher stał nieruchomo, odprowadzając go wzrokiem. W oddali głucho zadudnił motocykl. Dudnienie narastało, było coraz głośniejsze, ciężkie jak młot. Parskając i prychając, zza rogu wyjechał ósmy harley, bardzo powoli, ledwie opierając się grawitacji, wielka, zwalista maszyna. Prowadzący go mężczyzna półleżał na siodełku ze stopami na daleko wysuniętych podnózkach. Pochylił się w lekkim skřęcie i zwolnił. Był w czarnej skórzanej kamizelce i czarnym podkoszulku. Zaparkował jako ostatni w rzędzie. Motor dudnił przez chwilę na wolnych obrotach, jak kowal wałący młotem w kowadło. Motocyklista zgasił silnik i postawił maszynę na nóżki. Późnownie zapadła cisza.

– Szukam Jimmy’ego Szczura – zagadnął go Reacher.

Motocyklista zerknął na jeden ze stojących obok motorów. Nie mógł się powstrzymać.

– Nie znam – mruknął i na krzywych nogach ruszył do

baru. Wyglądał jak zwalista gruszka. Miał około czterdziestu lat, metr siedemdziesiąt pięć wzrostu i ziemistą cerę, jakby natarł sobie twarz olejem silnikowym. Otworzył drzwi i wszedł do środka.

Reacher został. Harley, na którego tamten zerknął, był jednym z trzech ze srebrzystymi runami na baku. Choć wielki jak pozostałe, kierownicę miał bliżej siodełka niż motocykl tego nowego. Jakies pięć centymetrów. Co znaczyło, że Jimmy Szczur ma około metra siedemdziesięciu wzrostu. I jest chudy, co pasowałoby do nazwiska. Być może uzbrojony, w nóż albo pistolet. Agresywny.

Ruszył do drzwi. Otworzył je i wszedł do baru. W środku było ciemno i gorąco, załatywało rozlanym piwem. Prostokątna sala, po lewej stronie długa miedziana lada, po prawej stoliki. Z tyłu łukowate przejście i wąski korytarz. Toalety, telefon i drzwi pożarowe. Cztery okna. W sumie sześć potencjalnych wyjść. Pierwsza rzecz, jaką sprawdza każdy były żandarm wojskowy.

Ośmiu motocyklistów siedziało przy dwóch złączonych stolikach pod oknem. Pili piwo z ciężkich oszronionych kufli. Ten nowy, gruszkowaty, siedział ściśnięty jak sardynka przed najpełniejszym. Pod względem rozmiarów, kształtów, aparycji i wdzięku osobistego sześciu było podobnych do niego. Siódmy się wyróżniał. Wyglądał jeszcze gorzej. Chudy i żyłasty, miał metr siedemdziesiąt wzrostu, wąską twarz i niespokojne oczy.

Reacher stanął przy ladzie i poprosił o kawę.

– Nie mamy – odparł barman. – Przykro mi.

– Czy ten mały to Jimmy Szczur?

– Masz coś do niego, załatwcie to na zewnątrz, dobra?

Barman odszedł. Reacher czekał. Jeden z motocyklistów

dopił piwo, wstał i zniknął w korytarzu z toaletami. Reacher podszedł do ich stolika i usiadł na wolnym krześle. Było gorące. Ten gruszkowaty coś sobie skojarzył. Spojrzał na niego, potem na Jimmy'ego Szczura.

– To prywatne spotkanie, staruszkę – powiedział Szczur. – Nikt cię tu nie zapraszał.

– Potrzebuję informacji – oświadczył Reacher.

– Jakiej?

– O datkach na dobroczynność.

Szczurowi nic to chyba nie mówiło. Ale po chwili coś sobie przypomniał. Zerknął na drzwi, za którymi był lombard, gdzie prowadził interesy.

– Spadaj – rzucił.

Reacher położył na stole lewą pięść. Wielkości kurczaka z supermarketu. Z długimi, grubymi palcami i kłykciami jak orzechy włoskie. Z białymi bliznami na opalanej skórze po starych ranach i zadrapaniach.

– Nie obchodzą mnie twoje szwindle. Ani to, kogo okradasz. Czy kryjesz. Zupełnie mnie to nie interesuje. Chcę tylko wiedzieć, skąd to wzięłeś.

Otworzył pięść. Na dłoni leżał sygnet. Malutki. *West Point 2005*. Złota grawerka, czarny kamień. Jimmy Szczur milczał, ale coś w jego oczach mówiło, że go poznaje.

– West Point to inaczej Akademia Wojskowa Stanów Zjednoczonych w West Point – ciągnął Reacher. – W dwóch pierwszych słowach pełnej nazwy jest pewien klucz. To sprawa federalna.

– Jesteś gliniarzem? – spytał Szczur.

– Nie, ale mam ćwierć dolara na telefon.

Wrócił ten, który wyszedł do toalety. Stał za krzesłem Reachera i z teatralnym zdumieniem szeroko rozłożył ręce. Kurde, no co jest? Co to za facet? Reacher patrzył jednym

okiem na Jimmy'ego, drugim w okno, gdzie widział słabe odbicie tego, co się za nim dzieje.

– Tu ktoś siedzi – przypomniał mu Szczur.

– Wiem. Ja.

– Masz pięć sekund.

– Mam tyle, ile zechcę. Będę tu siedział, dopóki nie odpowiesz na pytanie.

– Myślisz, że sprzyja ci dzisiaj szczęście?

– Szczęście mi niepotrzebne.

Reacher położył na stole prawą rękę. Nieco większą od lewej. U praworęcznych to normalne. Miała trochę więcej szram i zadrapań, w tym skazę w kształcie litery V, która wyglądała jak blizna po ukąszeniu węża, choć zrobił ją gwóźdź.

Jimmy Szczur wzruszył ramionami, jakby było mu wszystko jedno.

– Należę do łańcucha dostawczego – powiedział. – Biorę towar od ludzi, którzy dostają go od innych. Ktoś ten sygnet podarował, sprzedał albo zastawił i go nie wykupił. Nic więcej nie wiem.

– Kto ci go dał?

Szczur nie odpowiedział. Reacher czekał, lewym okiem obserwując okno. Prawym zobaczył, że Jimmy lekko kiwa głową i że odbijająca się w szybie postać bierze potężny zamach. Stojący za Reacherem gość najwyraźniej zamierzał przyłożyć mu sierpowym w prawe ucho. Zwalić go z krzesła. A przynajmniej trochę zmiękczyć.

Nie wyszło.

Reacher wybrał drogę najmniejszego oporu. Spuścił głowę i gdy cios przeciął powietrze, odchylił się mocno do tyłu, zerwał z krzesła i wykorzystując siłę impetu, z lekkiego półobrotu wbił tamtemu łokieć w nerkę, która właśnie wróciła na miejsce. Trafił dobrze, porządnie. Facet runął jak kłoda. Re-

acher usiadł, jakby nic się nie stało.

Jimmy Szczur nie odrywał od niego wzroku.

– Na ulicę, kolego! – zawołał barman. – Przecież mówiłem.

Chyba nie żartował.

– No to masz kłopoty – powiedział Szczur.

On też nie żartował.

Chang robiła pewnie zakupy na kolację. W jakimś małym sklepie spożywczym koło domu. Coś zdrowego. Ale prostego. Była zmęczona.

Ciężki dzień.

– Mam tu sześciu tłuściochów i karzełka – podsumował Reacher. – Bułka z masłem.

Wstał. Przystąpił nad nieprzytomnym motocyklistą i skrzył do drzwi. Wyszedł na parking, gdzie stał rząd błyszczących harleyów. Odwrócił się i zobaczył, że tamci wyszli za nim. Sztywni, koślawi, na krzywych nogach i z rozdętymi piwskim brzuchami, nie wyglądali jak siedmiu wspaniałych. Ale swoją wagę mieli. Wszyscy razem. Wagę, czternaście pięści i czternaście buciorów.

Możliwe, że ze stalowymi czubkami.

Bardzo zły dzień.

Ale czy to nie wszystko jedno?

Rozstawili się w półokręgu, trzech po lewej stronie Jimmy'ego Szczura, trzech po prawej. Reacher przesuwał się powoli plecami do ulicy, a oni wraz z nim. Nie chciał utknąć pod czyjś płotem. Albo dać się zapędzić do narożnika. Nie zamierzał uciekać, ale miło było wiedzieć, że ucieczka jest możliwa.

Tamci zaciepnili półokrąg, lecz z miernym skutkiem. Wciąż stali ponad metr od siebie, trzy metry od niego. Co podsuwało oczywisty wariant potyczki. Kiedy na niego ruszą – powoli,

powłócząc nogami, burcząc, chrząkając i łypiąc na niego spo-
de łba – przebije się przez nich, odwróci i w nowym półokręgu
będzie już tylko sześciu. A potem mała powtórka i po chwili
zostanie pięciu. Na trzecią powtórkę się nie nabiorą i rzuca się
na niego całym stadem, wszyscy oprócz Jimmy’ego Szczura,
który bić się nie będzie. Jest na to za sprytny. Tak więc, koniec
końców, dojdzie do bijatyki czterech na jednego.

Fatalny dzień.

Niekoniecznie dla Reachera.

– Ostatnia szansa – ostrzegł. – Każcie karzełkowi odpo-
wiedzieć na pytanie i puszczyć was na piwo.

Nikt się nie odezwał. Motocykliści jeszcze bardziej zwarli
szyk, ugięli nogi w kolanach i z gotowymi do walki rękami,
lekko pochyleni ruszyli w jego stronę. Reacher wybrał pierw-
szy cel. Czekał. Chciał, żeby facet znalazł się półtora metra od
niego. Nie dwa kroki, tylko krok dalej. Musiał oszczędzać siły.

Nagle znów zasyczały opony – z tyłu, za nim – i siedmiu
wspaniałych wyprostowało się, robiąc wielkie oczy i niewin-
ne miny. Reacher odwrócił się i zobaczył radiowóz. Ten sam.
Z tym samym gliniarzem. Radiowóz zatrzymał się i gliniarz
zmierzył ich wzrokiem. Otworzył okno od strony pasażera,
nachylił się i patrząc na Reachera, zawołał:

– Proszę podejść do radiowozu!

Reacher podszedł, ale nie od strony pasażera. Nie chciał
odwracać się plecami do tamtych. Dlatego obszedł samochód
i stanął przy oknie kierowcy. Które się otworzyło, podczas
gdy to drugie się zamknęło. Policjant miał w ręce pistolet. Ale
trzymał go luźno, na kolanach.

– Powie mi pan, co tu się dzieje?

– Służył pan w wojskach lądowych czy w piechocie mor-
skiej? – spytał Reacher.

– Skąd pomyśli, że w ogóle służyłem?

– Bo większość policjantów z takich miasteczek służyła. A już na pewno ci, którzy potrafią przejechać kilkadziesiąt kilometrów do najbliższego fryzjera wojskowego.

– Tak, służyłem w lądowych – przyznał policjant.

– Ja też. A tutaj? Nie, nic się tu nie dzieje.

– Musi pan to rozwinąć. Wielu służyło w wojsku. Nie znam pana.

– Major Jack Reacher, Sto Dziesiąta Specjalna Jednostka Dochodzeniowa Żandarmerii Wojskowej Stanów Zjednoczonych. Miło mi pana poznać.

– Słyszałem o Stodziesiątce – powiedział policjant.

– Mam nadzieję, że nic złego.

– Wasze dowództwo mieściło się w Pentagonie, prawda?

– Nie, w Rock Creek w Wirginii. Trochę bardziej na północ i na zachód od Pentagonu. Parę lat miałem tam bardzo wygodne biuro. Czy to było podchwytliwe pytanie?

– Tak, zgadza się, w Rock Creek. Zdał pan test. A teraz proszę powiedzieć, co tu się dzieje. Chce się pan z nimi bić?

– Jak na razie tylko rozmawiamy – odparł Reacher. – Spytałem ich o coś. Powiedzieli, że wolą pogadać na świeżym powietrzu. Nie wiem dlaczego. Może bali się, że ktoś nas podsłucha.

– O co ich pan pytał?

– O ten sygnet. – Reacher oparł rękę o okno i otworzył dłoń.

– West Point.

– Jeden z nich sprzedał go w lombardzie. Chcę się dowiedzieć, skąd go miał.

– Dlaczego? – spytał policjant.

– Sam nie wiem. Pewnie dlatego, że ciekawi mnie jego historia.

– Oni panu nie powiedzą.

- Zna ich pan?
 - Nie mamy dowodów, ale...
 - Ale?
 - Sprowadzają towar z Dakoty Południowej, przez Minnesotę. Dwa stany stąd. Ale to za mało, żeby zainteresować tym federalnych czy ściągnąć tu detektywa z Dakoty Południowej. Jak widać, prawie niczym nie ryzykują.
 - Z Dakoty Południowej? A konkretnie skąd?
 - Nie wiemy.
- Reacher milczał.
- Niech pan wsiądzie – poradził mu policjant. – Ich jest siedmiu.
 - Nic mi nie zrobią.
 - Jeśli pan chce, mogę pana aresztować. Żeby lepiej to wyglądało. Ale musi pan odejść. Ze względu na mnie. Nie mogę tu siedzieć do końca służby.
 - Proszę się o mnie nie martwić.
 - Chyba jednak pana aresztuję, tak czy inaczej.
 - Za co? – spytał Reacher. – Za coś, co się jeszcze nie wydarzyło?
 - Dla pańskiego bezpieczeństwa.
 - Niech pan mnie nie obraża. O ich bezpieczeństwo pan się nie martwi. Mówi pan tak, jakby sprawa była przesądzona.
 - Niech pan wsiądzie – nalegał policjant. – Uznamy to za manewr taktyczny. A o sygnet spyta pan kogoś innego.
 - Na przykład kogo?
 - Więc niech pan da sobie spokój. Dziesięć dolarów do jednego, że nie kryje się za tym żadna historia. Facet wrócił z wojny smutny i rozgoryczony i czym prędzej go sprzedał. Żeby mieć na czynsz i jedzenie.
 - To się tu zdarza?
 - Dość często.

- Ale pan jakoś sobie radzi.
- Mamy tu całe spektrum.
- To nie facet. Sygnet jest za mały. To kobieta.
- Niektóre kobiety też mieszkają w przyczepach kempingowych.

Reacher kiwnął głową.

- Fakt. Dziesięć do jednego, że nic się za tym nie kryje. Ale chcę się upewnić. Na wszelki wypadek.

Zapadła cisza. Słyszać było tylko szept silnika i wiatr w przewodach telefonicznych.

- Ostatnia szansa – powiedział policjant. – Niech pan będzie mądry. I wsiądzie.

– Nic mi nie zrobią – powtórzył Reacher. Cofnął się i wyprostował.

Zirytowany policjant pokręcił głową, odczekał chwilę i wreszcie odjechał, powoli, z cichym sykiem opon, ciągnąc za sobą smugę spalin. Reacher odprowadził go wzrokiem do rogu ulicy i wrócił na parking, gdzie otoczył go czarny półokrąg.